

Anna Czerwińska - Rydel

W POSZUKIWANIU ŚWIATEŁA

Opowieść o Marii Skłodowskiej-Curie

Ilustracje: Dorota Łoskot-Cichocka

*Trzeba życie uczynić marzeniem,
a marzenie rzeczywistością.*

Piotr Curie

*Trzeba mieć odwagę i wiarę w to,
że się jest do czegoś zdolnym
i że do tego czegoś dojść potrzeba.*

Maria Skłodowska-Curie

CZEŚĆ I

WARSZAWA

1867–1891



CHOPIN I BUTY

– Trzy, dwa, jeden... szukam! – Marysia odsłoniła oczy i rozejrzała się wokoło.

Gdzie oni się schowali...? – pomyślała i zastygła w bezruchu, nasłuchując odgłosów, które zdradziłyby kryjówkę rodzeństwa.

Było cicho, spokojnie i jakoś tak obco w tym zawsze wypełnionym ruchem i gwarem pokoju. Ale już po chwili z szafy dobiegły Marysię delikatne szelesty, spod kanapy wydobyło się ni to sapanie, ni to mlaskanie, a za kotarą ktoś z trudem powstrzymywał chichot.

Dziewczynka uśmiechnęła się i na paluszkach podeszła do szafy. Nagłym ruchem otworzyła drzwi i od razu je zamknęła, przestraszona głośnym piskiem.

– Nie ma mnie, nie ma mnie! – piszczała Helenka, zadowolona, że to ją pierwszą znalazła młodsza siostra.

– Ciiiiii – Marysia położyła palec na ustach i ruchem głowy wskazała Helence kanapę. Teraz obie cichutko zakradły się w jej pobliże i, mrugając do siebie porozumiewawczo, równocześnie schyliły się, by zdemaskować kolejną kryjówkę.

– To Józio! – Helenka poczuła wielką satysfakcję, że starszy brat został odnaleziony zaraz po niej. Józio zaś za bardzo nie zmartwił się tym faktem. Miał buzię pełną cukierków, które przeżuwał z niemałym trudem, mlaskając i sapiąc przy tym zabawnie. Zjedzenie pysznych landrynek było dla niego znacznie ważniejsze niż zabawa w chowanego z siostrami.

Dziewczynki zostawiły więc brata w spokoju i same poszły sprawdzić, kto się ukrył za kotarą. W grę wchodziła Bronia lub Zosia. Ale sądząc po niecierpliwym falowaniu zasłony i zduszonym chichocie, była to...

– Bronka! – obie dziewczynki krzyknęły jednocześnie, widząc roześmianą buzię starszej siostry.

– A gdzie Zosia? – Marysia zaniepokoiła się, bo nie miała już pomysłu na kryjówkę.

– W ogóle się nie bawiła. Poszła do salonu z mamą – odpowiedział obojętnie Józio, który ze swojego ukrycia widział wszystko.

– Jak to?! Dlaczego? – tupnęła nogą Helenka. – To nie w porządku! Ja się tak nie bawię – nadała się, bo wciąż było jej trochę przykro, że to ją pierwszą odnalazła Marysia.

– Bo Zosia jest już prawie dorosła – w głosie Broni słychać było nutkę podziwu i zazdrości.

– Eee tam, dorosła! – prychnęła mała Marysia. – Każdy lubi się bawić w chowanego. Nawet tata! A przecież jest bardzo duży – stwierdziła. – Chodźmy do niej – zarządziła i otworzyła drzwi od pokoju.



W salonie było jasno i ciepło. Paliło się w kominku, migotały świece poustawiane w lichtarzach, kandelabrach i świecznikach*. Mama grała na fortepianie, a niedaleko niej, bokiem do drzwi stała Zosia, która stroiła dziwne miny i przybierała różne pozy, wpatrując się w wielkie kryształowe lustro.

– A więc TU jesteś! – krzyknęła z pretensją Helenka.

* Lichtarz – bardzo ozdobny, stojący świecznik dla jednej świece; kandelabr – duży, ozdobny, kilkuramienny świecznik stojący.

– Czemu się z nami nie bawisz? Nie jesteś chyba aż TAK DOROSŁA... – Marysia objęła najstarszą siostrę i zajrzała jej w oczy.

– Co? – Zosia przestraszyła się nagłym wejściem rodzeństwa. Zawstydziała się też, że została przyłapana na mizdrzeniu się do lustra. – O czym wy mówicie? Ja słucham, jak mama gra – powiedziała z wyższością i spoważniała.

Dzieci spojrzały na mamę. Pięknie wyglądała przy fortepianie w kremowej sukience z bufiastymi rękawami. Miała włosy upięte w kok, była zarumieniona i uśmiechnięta, a jej palce sprawnie biegały po białych i czarnych klawiszach.

– Nie hałasujcie, to Chopin – Zosia skorzystała z okazji, by pouczyć rodzeństwo. – Mama ostatnio ciągle go gra.

Dzieci umilkły i speszone usiadły na sofie i fotelach.

Smutny ten Chopin – pomyślała Marysia. – Jakby deszcz padał w jego muzyce.

Tego dnia długo jeszcze brzmiał jej w uszach deszczowy rytm utworu Chopina, który grała mama. Przypominało go tykanie zegara, kroki taty, który chodził po swoim gabinecie, i miarowe uderzanie młoteczka, którym pani Skłodowska przybijała podeszwy do butów.

– Mamusiu, uszyłaś dla mnie buty Chopina! – uśmiechnęła się, kiedy matka kazała jej przymierzyć nowiutką, dopiero co wykończoną parę brązowych trzewiczków.

– Naprawdę, nie musisz tego robić, Broneczko, to praca dla mężczyzny! – pan Skłodowski nie lubił widzieć żony

z młotkiem szewskim w ręku. – Nawet samo słowo „szewc” jest rodzaju męskiego. Wolę jak grasz Chopina.

– Dobrze wiesz, Władku, że nie kupilibyśmy tylu par porządnych butów – uśmiechnęła się pani Skłodowska. – Dzieci prędko z nich wyrastają albo je niszczą, a wszystko takie drogie... Cieszę się, że mogę zrobić dla nich buty sama. Szczególnie teraz, jak już nie pracuję, tylko jestem w domu. To całkiem ciekawe i wesołe zajęcie. Zobacz! – objęła męża i spojrzała na Marysię, która, tupiąc obcasami, tańczyła w swoich nowych butach.

PRZY LAMPIE NAFTOWEJ

Marysia otworzyła drzwi i weszła do gabinetu taty. W półmroku dostrzegła zarys stojących tu mebli – kanapy, owalnego stołu, krzeseł i szerokiego biurka, przy którym siedział ojciec. Podbiegła do niego i wdrapała mu się na kolana, zarzucając ręce na szyję.

– Cóż tam, Maniu? – pan Skłodowski uśmiechnął się do córki i odłożył pióro.

– Chcę posłuchać tej bajki, którą nam wczoraj czytałeś, tato... – Marynia zamrugała swoimi szaroniebieskimi oczami i zaczęła wiercić się niecierpliwie na kolanach ojca.

Profesor Skłodowski roześmiał się i wyrównał plik rozrzuconych na biurku kartek, wypełnionych rzędami cyfr.

– Bajki? Hm... w pewnym sensie jest to bajka, ale... Zresztą to właściwie nieistotne – powiedział i podkreślił światło lampy naftowej stojącej na stole. – Najważniejsze, że ci się podoba. Zawołaj zatem resztę towarzystwa. Czas na wieczorne czytanie.

Marysia wybiegła w radosnych podskokach z gabinetu ojca, nawołując rodzeństwo, a pan Skłodowski podszedł do przeszklonej biblioteczki. Stało tam w równych rzędach całe mnóstwo książek z różnokolorowymi grzbietami, na których złociły się napisy w rozmaitych językach. Zastanowił się chwilę i wyjął dość gruby tom w ciemnej oprawie. Położył go na stoliku, po czym usiadł na fotelu i założył okulary.

Po chwili wpadła zarumieniona Marynia i pozostałe „towarzystwo”, jak to mówił tata. Najstarsza, dziesięcioletnia już Zosia, z poważną miną zasiadła na kanapie. Obok niej usiadły siedmioletnia Bronia i o rok od niej młodsza Helenka, chichocząc i szepcząc coś do siebie nawzajem. Dziewięcioletni Józio, jedyny chłopak, przysiadł na krześle obok ojca, a najmłodsza z nich wszystkich Mania wdrapała się jak zwykle tacie na kolana.

– I co było dalej? – zapytała.

– Posłuchajcie – ojciec otworzył książkę i zaczął czytać:

*Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zastany,
U góry błękitnawy, na zachód różany*.*

* Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*.



Marysia zasłuchała się. Uwielbiała wieczorne czytania taty, który niskim, ciepłym głosem odmalowywał postacie, krajobrazy i sytuacje. Robił przy tym różne miny, to ściszał głos, to podnosił, marszczył brwi i poprawiał okulary. Czytał tak, że dziewczynka widziała dokładnie w swojej wyobraźni cały ten opisany przez poetę świat, który podobał jej się i pociągał. Dziwiła się, że nikt w historii o panu

Tadeuszu nie musi mówić po rosyjsku, i zachwycała się melodią i rytmem poezji.

Pan Skłodowski skończył czytać, zamknął książkę i odłożył okulary. Zaległa cisza, przerywana tylko pokasływaniem mamy, która od kilku już dni leżała chora w sypialni.

– No, dzieci, czas do łóżek – powiedział ojciec i zdjął ze swoich kolan zasypiającą już prawie Marynię. – Ale najpierw jeszcze pacierze – ukląkł przed wiszącym na ścianie krzyżem. – Za mamę, żeby była zdrowa. I za naszą ojczyznę, żeby była wolna – spojrzał na Zosię, która rozpoczęła modlitwy.

Marysia nie rozumiała ani tego, co dzieje się z mamą, ani dlaczego trzeba się modlić za wolność ojczyzny. Nie pytała jednak o nic, tylko składała rączki i powtarzała za siostrą kolejne *Zdrowaś Maryjo...*

Płomień lampy tańczył i rzucał cienie na ścianę pod krzyżem, tworząc rozmaite kształty i obrazy. W jego blasku wszystko wydawało się takie tajemnicze i niesamowite, nawet twarze sióstr, brata i ojca wyglądały inaczej niż za dnia.

– Dobranoc, kochani – profesor Skłodowski ucałował główki wszystkich dzieci po kolei. – Spokojnych snów – uśmiechnął się i zasiadł w fotelu, gdy w drzwiach pojawiła się pokojówka, żeby położyć dzieci do łóżek.

Umilkł gwar i dziecięce śmiechy. Cisza ogarnęła dom. Profesor Skłodowski rozłożył prace klasowe swoich uczniów. Myślał o tym, że w tej chorej rzeczywistości, kiedy rosyjski zaborca zabrania mówienia po polsku i o Polsce, te chwile

z dziećmi i poezją Mickiewicza są bezcenne. Miał jeszcze dużo sprawdzania, a do matematyki potrzebne jest szczególne skupienie i uwaga. Pochylił się więc nad zeszytami i półgłosem powtarzał obliczenia.

Wszyscy spali. Tylko Marynia leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami. Zastanawiała się, czy jutro będzie jej w końcu wolno przytulić się do mamy...

JESTEM DZIELNA

Marysia nie płakała. Obiecała mamie, że będzie dzielna. To wcale nie znaczyło, że nie było jej przykro. Prawdę mówiąc, bardzo chciało jej się płakać. Chciało jej się nawet krzyczeć i tupać nogami. Ale obiecała... „Przyrzeknij mi, Maryniu, że będziesz dzielna” – prosiła mama, gdy wsiadała do powozu i odjeżdżała z Zosią do sanatorium w Nicei. Marysia przyrzekła. Musi więc przecież teraz słowa dotrzymać!

Po wyjeździe mamy domem zajął się tata. Pilnował, żeby dzieci dobrze jadły, spacerowały, ciepło się ubierały. Ale na pierwszym miejscu była nauka. Nawet najzwyczajniejsza rozmowa z tatą kryła jakieś naukowe przesłanie, każdy spacer z nim był okazją do odkryć i badań przyrodniczych, a rozgwieżdżone niebo pretekstem do wykładu o ruchach ciał niebieskich.



W gabinecie taty stała przeszklona gablota z kilkoma półkami pełnymi „uroczych przedmiotów” – jak je nazywała Mania. Stały tam szklane tubki, wagi różnych rozmiarów, różnokolorowe kamienie, kryształy i inne przedziwne rzeczy.

– To przyrządy fizyczne! – śmiał się tata, kiedy Marynia się nimi zachwycała.

Józio chodził do szkoły. Nie lubił jej, bo trzeba było mówić tam tylko po rosyjsku, uczyć się po rosyjsku i opowiadać rzeczy, które – Józio o tym wiedział od ojca – nie były wcale prawdą. Za to jego młodsze siostry, Bronia i Helenka, uczyły się w domu z tatą. Marysia lubiła siedzieć na tych lekcjach i obserwować wszystko.

– Przeczytaj to, Broniu, jeszcze raz – prosił cierpliwie profesor Skłodowski, gdy dziewczynka znowu zacięła się w tym samym miejscu. – Powoli.

– Ste... Stet... os... stets... – Bronia aż poczerwieniła z wysiłku.

– Stetoskop to przyrząd służący do badania klatki piersiowej, serca i jamy brzusznej – odezwała się nagle Mania, która zaglądała siostrze przez ramię.

Wszyscy spojrzeli na pięcioletnią dziewczynkę ze zdumieniem. Bronia otworzyła nawet buzię.

– Marysiu! – zawołał ojciec.

– Ja nie chciałam! – dziewczynka przestraszyła się, że zrobiła coś złego. – Przepraszam, ale to było takie łatwe... – rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Kochana Mamo – napisała na kartce. – *Piszę do Ciebie, bo umiem już czytać. I jestem dzielna* – dodała.